

Królewiacy

przez

Artura Gruszeckiego.

31)

— Przechodzimy ostre zapalenie, panie Romanie, — zaśmiał się doktor; — nie można uogólnić jednego wypadku. Przypuszczam, że wiem, co pana spotkało i co pana gnębi. To jednak należy do zwykłych doświadczeń życia, że ogień parzy. Pan zbliżyłeś się do lampki, biorąc ją za słońce i naturalnie płomień lampy spiekł pana. Czy to dziwne?

— Mój panie doktorze, filozofować można dopiero po reakcji, i jest to przelewanie z próżnego w puste, ale póki się żyje, czuje, cierpi, to cała filozofia w łeb bierze. Czy to umniejszy ból pana po śmierci bliskiej osoby, że pan będzie uzasadniał to ogólną regułą śmiertelności?

— Umniejszy o tyle, że mogę każdej chwili pójść w tę samą nicość. Nie sztuka jednak umrzeć, sztuka żyć i wynagrodzić ludzkości poniesioną stratę. Na razie robi się to pod przymusem etycznym, a stopniowo przemienia się w potrzebę życia i wszystko wraca jak było.

— Tak, tylko że traci się wiarę, zaufanie, radość życia i świat staje się taki pusty, szary, nudny i brudny.

— Jakżeż panu zazdroszczę! jaki pan młody! — uśmiechnął się smutno doktor. — Uczucie w tej chwili wzięło przewagę nad rozumem i logiką. Słuchając pana, mam wrażenie, że widzę dziecko po utracie lalki. Ten ostatni wyraz może pan wziąć dosłownie i przenośnie, jak pan chce.

— Niech pan oszczędzi tej analizy, — mówił zniechęcony Roman.

— Usłuchałbym pańskiego kaprysu, gdyby szło tylko o pana, ale pan zamartwia sobą swoją złą matkę i kochającą siostrę... Wie pan, wstąpmy na kieliszek wina, lubię czasem posiedzieć z przyjacielem w brudnej i zadymionej izbie przy butelce wina.

— Nie, dziękuję panu.

— Nie bądźże pan dzikim, panie Romanie, trzeba być ucywilizowanym i grzecznym, no, idziemy, — wskazał na blizką winiarnię.

Po kilku chwilach obojętnej rozmowy, Roman poczuł wdzięczność dla doktora i roztękał ze swej obojętności.

— Powiedz mi, panie doktorze, czy to możliwe jest psychologicznie, ażeby ktoś dawał namacalne dowody miłości i przywiązania i nagle, ni stąd ni zowąd, stał się nietylko obojętnym, ale drugiego, zupełnie obcego i wstrętnego sobie człowieka obdarowywał swymi uczuciami?

— Panie Romanie, podstawmy zamiast nieznanego X. pannę Filarkównę, a tego drugiego ochrzczymy Butrinkiem, to uprości sprawę, — a widząc chmurną minę Romana dodał: — odważny człowiek nie boi się nazwać nieprzyjaciela po nazwisku, no, trąćmy się i wypijmy... a teraz trochę zimnej logiki, zgoda?

— Mów pan.

— Panna Filarkówna to sobie zwykła, przeciętna mieszczańeczka, która po przeczytaniu kilku romanów, postanowiła być niezmierną, idealną bohaterką, godną pióra angielskich autorek. Pana uwiodły te pozory, to w porządku. Ale to źle, że pan tak boleje nad swoim błędem.

— Może pan ma i rację.

— Stary Filarek, to dorobkiewicz, pragnący wkupić się za każdą cenę w hierarchię urzędniczą, która rządzi i trzęsie krajem. Ponieważ nie ma syna, któryby musiał zostać urzędnikiem, więc przez zięcia wchodzi w upragnioną sferę. Czy to nie jest w porządku? Czy nie powinno się być pobłażliwym dla tej głupiej ambicji? Każdy z nas ma swoją głupotę, pozwólmy ją mieć i jemu... A o Butrinku już nie mówię, to zwykły, marny chlebojad urzędniczy. I jest tu czego się smucić, męczyć matkę, martwić siostrę?

— No, tak... ale ona... — westchnął Roman.

— Nie troszcz się pan o nią, — uśmiechnął się doktor, — ona będzie panią oficjalową, później panią inspektorową, wreszcie panią radczynią, więcej niż prawdopodobnie zawiąże dyskretnie flirty, romansiki, aż póki zmarszczki nie nakłonią jej do zostania pobożną matroną. To przebieg normalny, a pan go chciałeś zmienić i naturalnie sparzył się.

Roman, po tej rozmowie z doktorem, poczuł dziwną ulgę i zaczął jaśniej patrzeć na świat i ludzi.

Wprawdzie wracały jeszcze fale smutku i żalu,

zwłaszcza, gdy przy pierwszym spotkaniu się na ulicy, Mania i ciotka udały, że go nie widzą i tylko Stasia odskoczyła mu się z przyjaznym uśmiechem.

XXIII.

Żale jego osobiste musiały jednak ustąpić wobec zawiłania w stosunkach życia realnego.

Roman od pewnego czasu spostrzegł, że Spiegelman nieregularnie wypłacał należności za dostarczony materiał surowy, a przy zmniejszonej produkcji towaru wydalili część robotników. To go zaniepokoiło i pilnie śledził obroty kasowe. Zwierzył się nawet ze swych obaw technikowi i buchalterowi. Obydwaj jednak zapewnili go, że przy zamierzonym powiększeniu fabryki, produkcja dotychczasowego towaru musi być obniżona na razie.

Jednego dnia otrzymał bilet od Marskiego, w którym ten donosił:

„Dowiaduję się w tej chwili, że z fabryką Spiegelmana jest krucho, niech pan przypilnuje swej kaucyi, bo gotów pana zarwać. Dawno nie był pan z nami na piwie. Przyjdź pan, a obgadamy bliżej tę sprawę“.

Roman otrzymał ten bilet wieczorem i mimo, że kasę i fabrykę zostawił w zwykłym porządku, zaniepokoił się bardzo otrzymaną wiadomością i wcześniej niż zwykle udał się nazajutrz do fabryki.

Już zdążył zaniepokoić go widok nieczynnego kominu, a zbliżywszy się, zobaczył przed bramą budynku fabrycznego zwarty tłum robotników, którzy klęli i wymyślali na właściciela.

Dostawszy się do biura, dowiedział się od buchaltera, że Spiegelman wyjechał zagranicę, a sąd ogłosił upadłość fabryki i poszukuje fabrykanta, podejrzanego o rozmyślne bankructwo.

Moryc nie szczędził przekleństw i narzekań, przedstawiając siebie i swych towarzyszy biurowych jako ofiary wyzysku i podejścia Spiegelmana, a pocieszał się tem, że bilans fabryczny nie jest tak rozpaczliwy, ażeby nie dało się przeprowadzić umowy z wierzycielami, i fabryki otworzyć napowrót na zmienionych warunkach.

Utrata posady i kaucyi bardzo zmartwiła Romana, ale na równi bolał nad niedającym się uniknąć zmartwieniem matki.

Zgnębiony i smutny wracał do domu, a nie chcąc przyjść w porze niezwykłej, włóczył się po mieście aż do chwili obiadowej.

Wysiliła się na swobodę i dobry humor, pragnąc odłożyć zle wiadomości do chwili sposobnej, ale właśnie ta nienaturalna wesołość wzbudziła podejrzenie i w końcu obiadu odezwała się matka:

— Romciu, ty coś ukrywasz? Czy spotkało cię co nieprzyjemnego?

— To nic szczególnego, mam swoje zmartwienia.

— Czy sercowe? — zaśmiała się Irena.

— Gdyby to tylko sercowe! — westchnął.

Irena spojrzała na niego bacznie i dodała:

— Jeśli o plotki idzie, nie masz potrzeby martwić się. Już się pogodziłam z tem, że w Krakowie należę do dziewcząt wyzutych ze wstydu i honoru, — zaśmiała się z goryczą, — i nic mi na tem nie zależy, a swoją drogą, gotowa jestem na wzór mamy, suszyć raz w tygodniu na intencję wybawienia nas z Krakowa i tych miłych burżujów.

— Romciu, przyznaj się, — prosiła matka, — czy znów coś o Irence?

— Ależ nie, to rzecz zupełnie inna.

— Nie uspokoję się, póki mi nie powiesz, — patrzyła z obawą na syna.

— To idzie o fabrykę. Mówiłem już mamie, że mam pewne podejrzenia. On coś kręci i obawiam się o posadę, a tutaj tak ciężko znaleźć nową.

— No, no, Romek, sama obawa nie wywołałaby takiej zmiany u ciebie, na czołe masz wypisaną zgryzotę.

— I ja to widzę, — dodała matka. — Poco ukrywasz? Straciłeś posadę?

— Spiegelman jeszcze mi nie wymówił, ale to możliwe.

Służąca przyniosła listy odebrane od listonosza. Roman i Irena zajęli się odczytywaniem listów, a otwartą kartkę pocztową położyła była służąca przed Czajkowską, która machinalnie spojrzała i odczytała słowa:

„W sprawie waszej kaucyi u tego żydowiny, radzę wam udać się do mego kolegi, zacnej i poczciwej duszy...“ — na tem kończyły się słowa kartki z odkrytej strony.

Czajkowska pobladła, pełna niepokoju wpatrywała się w Romana i dopiero, gdy skończył czytanie listu, podsunęła mu kartkę, mówiąc:

— Romciu, przeczytaj, to rzecz ważniejsza.

Roman rzuciwszy okiem na kartkę, powiedział zmieszany:

— Więc mama wie już o wszystkim. Spiegelman zbankrutował i fabrykę zamknął.

— To okropne! — Łzy stanęły jej w oczach, — straciłeś posadę i kaucję.

— Co? i kaucję? — zawołała Irena, — przecież ubezpieczyłeś ją, radziłeś się nawet swych tujejszych przyjaciół... Mili przyjaciele! — zaśmiała się ironicznie.

— Jeśli kaucya stracona, to prawdopodobnie byli oni w zмовie z żydem, — powiedziała matka rozżalona, — bo ty jesteś tak nieostrożny i ksztemu wierzysz.

— Proszę was, — zawołał szczerze oburzony, — ani słowa o tych ludziach. Marski uprzedził mnie o pogłoskach bankructwa fabryki, a Remberski tylko przez przyjaźń doradza w tej kartce, — wziął ją do ręki, — w jaki sposób mam się ratować. Jak można podejrzawać o jakieś podłe machinacje tych zacnych i uczciwych ludzi, których ani mama, ani ty Irenko nie znacie.

— Mniejsza o to, Romciu, — westchnęła matka, — w żalu bywa człowiek niesprawiedliwym. Ale co teraz będzie? z czego żyć będziemy? co się z nami stanie?

— Musimy radzić sobie. Nie myślę ginąć tu, w Krakowie, postaram się o inną posadę.

— Ale czy znajdziesz? — wątpiła matka, — a zanim to przyjdzie, z czego żyć będziemy? Gdybyś był przynajmniej nie dodał do pierwotnej kaucyi tysiąca pięciuset koron, to możnaby było przeczekać... a tak cię prosiłam, tak cię ostrzegałam!

Roman spochmurniał, gdyż zwiększył był swą kaucję na żądanie Spiegelmana, z obawy utraty posady, a wówczas drżał na tę myśl, starając się o rękę Mani. Nie chciał się jednak przyznać, że tylko dla Mani zaryzykował te pieniądze i powiedział kwaśno:

— Stało się. Dałem, bo uważałem interes jako zupełnie pewny, a i dziś wcale nie wątpię, że wycofam kaucję z niewielką stratą.

— Jeśli jednak sąd ogłosił upadłość, to sądząc podług naszych stosunków w Warszawie, sprawa zwrotu może przeciągnąć się przez rok i dłużej, — troszczyła się matka, — a my mamy całego kapitału siedemset koron.

— Tylko siedemset? — zdziwił się, — to niemożliwe!

— Mam każdy wydatek zapisany, na siebie nic nie straciłam, a Irenka ubierała się za swoje pieniądze z lekcyi i z moich procentów.

— Ależ ja wierzę mamie, tylko mnie to dziwi, bo przecież to dopiero czerwiec i pensję oddawałem mamie.

— Zapominasz jednak o twoich wydatkach, Romciu, a przecież, oprócz znacznych kosztów na twoje nowe ubrania, był czas, że niemal codziennie wydawałeś po dziesięć, dwadzieścia koron, chociaż cię ostrzegałam.

Wiedziała Irena, w jakim celu stracił Roman tyle pieniędzy, a widząc go tak zmartwionym, powiedziała dość szorstko:

— Dlaczego mama robi wymówki Romkowi? To były jego pieniądze i wolno mu było ich użyć, jak chciał. A zresztą, czy to babranie się w przeszłości zwróci pieniądze?

— Ja mu też wymówek nie robię, — broniła się matka, — ale jeśli on dziwi się, gdzie się podziały pieniądze, to ja muszę mu powiedzieć prawdę, niech wie, że to nie moja wina.

— Moja mamó, poco te kwasy, — mówiła zniechęcona Irena, — czy nie możemy spokojnie pomówić o przyszłości, i co należy począć w zmienionych warunkach. Ja z mej strony oddam do domu pieniądze za lekcyę, i bardzo żałuję, że dałam bućki do naprawy, bo teraz szkoda każdego grosza.

— Ileż ty masz Irenko? — uśmiechnął się Roman.

— W tym miesiącu będę miała dwadzieścia koron, ale w lipcu pewnie mniej, bo kończą się szkoły.

— Jakaś ty pocziwa, Irenko, — rozczuła się matka, — niewiele to, ale zawsze pomoc.

— Przypuszczam, że nie będziemy potrzebowali pieniędzy Irenki na życie. Teraz pójde do adwokata wskazanego przez Remberskiego i poproszę go o szybkie wydobyć kaucyi ze sądu.

— Romciu! — zawołała Czajkowska, — a gdybyś się udał w tej sprawie do wuja, on przecież wysoka figura w sądzie. Nigdyśmy go o nic nie prosili, mógłby raz swoim wpływem nam pomóc.

— O, nie do wuja! — zawołała z niesmakiem Irena, — przecież od czasu oświadczeń Maryewskiego, ciotka z Klimcią oddawały nam zaledwie ceremonialne wizyty po kilka minut i po to tylko, ażeby